

Stefan Lichański – Na śmierć Diogenesa (i trzy glosy)

Esej z tomu *Cienie i profile. Studia i szkice literackie*,
Warszawa 1967, PIW

Das Liebste, was mein Herz genossen
Der holde Reiz der Menschlichkeit
Hölderlin

28 kwietnia 1962 roku zmarł w Warszawie powieściopisarz Władysław Zambrzycki. Jego dorobek nie jest ilościowo zbyt obfity: pięć powieści i tomik opowiadań¹. Po książkach tych widać jednak, że autor nie wysiadywał ich w pocie czoła za biurkiem. Nie są one produktami zasapanego wysiłku literata-profesjonala, zabiegającego o sukces, popularność, o utrafienie w aktualny popyt rynkowy. Wszystkie cechuje ta sama swobodna beztroska pisarstwa amatorskiego, nietroszcząca się o mody i gusty obowiązujące w danej chwili na oficjalnym literackim Olimpie. Dyktowała jej pełna humoru, sobiepańska fantazja uśmiechniętego filozofa-włóczęgi, poety-trampa.

Zambrzycki pracował jako dziennikarz, w beletrystykę raczej się bawił. Świadomie czy nieświadomie działał w tym wypadku zgodnie z jak najbardziej zdrową i słuszną zasadą, że pisarstwo może być naszą największą pasją życiową, ale nie powinno stać się zawodem. Pewnie, łatwiej taką zasadę głosić, niż się do niej – zwłaszcza teraz, w czasach powszechnej wśród ludzi pióra mizerii – stosować, ale łamanie tej zasady ani literaturze, ani literatom na zdrowie nie wychodzi. To pewne.

Gorzej, że z narzucanej presją życiowych warunków smutnej konieczności pisarskiego profesjonalizmu robi się u nas cnotę i twórczość po amatorsku niefrasobliwą, traktującą siebie samą z dyskretnym przymrużeniem oka, uważa się za coś niejako z natury rzeczy pośledniejszego. Jedno z warszawskich pism nawet w notatce o śmierci Zambrzyckiego nazwało go przedstawicielem „średniej literatury”. „Średnia literatura”! Ci panowie mają pewnie u siebie w redakcji jakiś mózg elektronowy, który im określa czyje pisarstwo jest „średnie”, a czyje „ciężkie” lub „lekkopółśrednie” – niczym w klasyfikacji wag bokserkich.

Nie czas tu jednak ani miejsce na polemikę z urzędniczo-belferskimi ciągotami do apodyktycznego ocenialstwa i wyznaczania stopni służbowych. Nieważne jest bowiem, czy maklerzy czynnej aktualnie giełdy literackiej przyznają komuś stopień pułkownika, czy też starszego sierżanta, nieważne również, czy garmondem lub petitem pisać o nim będzie wieczna fałszerka i fuszerka – historia literatury. Ważne jest natomiast, czy ten ktoś zdołał powiedzieć coś istotnie nowego, zbudować własny, integralnie suwerenny kosmos artystycznej wizji, ukazać nam świat i jego sprawy w stworzonej przez siebie samego, odnawiającej ogląd rzeczy perspektywie.

Władysław Zambrzycki dokazał tej sztuki. Odnowił starą formę romansu włóczęgowsko-łotrowskiego, kojarząc go z baśnią poetycką i przypowieścią filozoficzną. Te

¹ *Większa z kropelkami*, Warszawa 1929; *Nasza Pani Radosna, czyli dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau*, Warszawa 1931; *Mgła nad Skaldą*, Katowice 1947; *Pamiętnik Filipka*, Warszawa 1956; *Kwatera bożych pomyleńców*, Warszawa 1959; *Kaskada Franchimont*, Warszawa 1956.

różnorodne elementy zintegrowały się pod jego piórem w nową, harmonijną, organiczną – rzecz by się chciało – całość. Wykryształowała się odmiana powieści przypominająca nieco osiemnastowieczną powiastkę filozoficzną, ale i dziewiętnastowieczną powieść poetycką, stary romans łotrowski, ale i poetycko-filozoficzne przypowieści Shawa oraz Chestertona. Te analogie można by jeszcze mnożyć, wskazując na przykład na tradycje starożytnego eposu heroikomicznego czy komedii rybałtowskiej, ale nie ma to chyba celu, gdyż Zambrzycki nie był odnawiającym stare rodzaje stylizatorem, lecz twórcą samodzielnym i oryginalnym, którego droga krzyżowała się po prostu czasem lub biegła chwilami równoległe z drogą tego lub owego artysty wcześniejszych czasów.

Jeżeli na analogie te warto zwrócić uwagę, to jedynie dlatego, że świadczą one o rozległości kultury literackiej autora *Naszej Pani Radosnej*. To nie był ożywiony dobrymi chęciami dyletant, ale artysta świadomy tajników kunsztu pisarskiego i dysponujący bogatym zasobem głęboko przyswojonej tradycji literackiej i filozoficznej. Jeden przecież z nurtów tej tradycji był mu szczególnie bliski i szczególnie ważny dla wykryształowania się jego własnej indywidualności pisarskiej: gawęda staropolska. Oczywiście, nie ta tłusta i płaska facecja doby saskiej i czasów Radziwiłła Panie Kochanku, ale renesansowa anegdota dworzanina, bywalca, statysty, frywolny często, lecz kunsztowny zarazem żart Kochanowskiego, Górnickiego, Orzechowskiego, Bielskiego.

Perłą tego zintelektualizowanego, galickim *esprit* zaprawionego gawędziarstwa jest zwłaszcza znakomita *Kwaterna bożych pomyśleńców*. Jak czasu wielkiej zarazy układali opowiadania narratorzy *Dekameronu*, tak czasu powstania warszawskiego, gdy najsilniej chyba wezbrała niszczycielska furia faszystowskiego antyhumanizmu, czterech mądrych dziwaczy warszawscy organizują swoistą samoobronę przeciw nastrojom katastrofy i zagłady. „Musimy dbać [...] o higienę psychiczną, która w walczącym, mieście jest bodaj ważniejsza od zwykłej troski o zdrowie”². I tak rodzi się pomysł wzajemnego krzepienia się na duchu opowiadaniem rozmaitych wydarzeń, wśród których pierwszeństwo miałyby przypadki „dziwne, niezrozumiałe, z trudem pod zmysły podpadające”³.

Formuła ta może być uznana za program całej twórczości prozatorskiej Zambrzyckiego. „Przypadki dziwne, niezrozumiałe, z trudem pod zmysły podpadające” stanowią ośnoję nie tylko dziejów wyprawy grupy współczesnych, pokłóconych cokolwiek z prawem poszukiwaczy przygód do starożytnej Pompei z czasów Tytusa (*Nasza Pani Radosna*). Na kanwie „przypadków dziwnych” zbudowany jest również znakomity pastisz *Pamiętnik Flipka*, urocza książka o Warszawie z doby wojen napoleońskich, jako obraz dawnego życia naszej stolicy godna stanąć obok *Lalki* i niezapomnianych warszawskich gawęd Gomulickiego. Do tej też dziedziny przypadków „z trudem pod zmysły podpadających” sięga autor w ostatniej swej książce, *Kaskadzie Franichimont*, będącej jakby nową wersją ogłoszonej w r. 1947 *Mgły nad Skaldą*, której akcja rozgrywa się głównie na pokładzie barki ze zbożem, wędrującej do portu przeznaczenia kanałami Belgii.

Dziwność i niezwykłość nie były jednak dla Zambrzyckiego celem samym w sobie. Podobnie jak Chesterton potrzebował paradoksalnych sytuacji na materiał dla swoich filozoficzno-poetyckich paraboli. Paradoks był jego orężem w walce z szarzyzną i mono-

² *Kwaterna bożych pomyśleńców*, s. 38.

³ *Ibidem*, s. 39.

tonią bytowania, ujętego w karby nawyku rutyny, zwyczajności, i był zarazem metaforą przywracającą walor świeżości starym, odwiecznym prawdom, które należało przypomnieć dzisiejszemu zdesperowanemu i zmęczonemu sobą światu.

Jako filozof Zambrzycki jest wyznawcą i głosicielem integralnego humanizmu. Podstawowym ontologicznym elementem jego wizji świata jest człowiek pojmowany jako żywa, konkretna osoba; podstawowym prawem człowieka – prawo do swobodnego, pełnego rozwoju; podstawowym obowiązkiem – obowiązek zgodnego, harmonijnego współżycia z całym otoczeniem, z ogółem istot żywych i rzeczy. Najgłębszą esencją bytu jest radość, aktywna, zdobywcza radość, manifestująca się w naturalnym, spontanicznym impulsie wszechsympatii („miłość jest cel ostateczny przykazań Chrystusowych” – mówi się w liście-apokryfie św. Łukasza Ewangelisty z *Naszej Pani Radosnej*, przy czym dodać należy, że „przykazanie” to w tym wypadku nie autokratyczny „rozkaz”, nie „zarządzenie”, poza- i ponadświatowych władz, ale objawienie obiektywnego prawa moralnego⁴).

Nie bez powodu, że raz jeszcze wrócimy do owego listu, cytuje autor słowa Ewangelii: „Strzeżcie się nauczonych w piśmie, którzy chodzą w szatach długich i miłują pozdrawiania na rynkach”. Norma, reguła, prawidło są czymś z natury sprzecznym z żywiołowymi impulsami radości i wszechsympatii. Dlatego też Zambrzycki nie protestuje, gdy jeden z bohaterów *Kwatery bożych pomyleńców* stwierdza, że co „innego jest religijność, a co innego przynależność do gminy religijnej”. Z jego punktu widzenia ważny jest zasadniczy kierunek czyjejs drogi życiowej, a nie skrupulatność w przestrzeganiu jakichkolwiek wyznaniowych przepisów i kodeksów. Pozwala swoim bohaterom uprawiać swoisty ochrzczonego libertynizm, w którym spontaniczna żywość wiary idzie w parze z daleko posuniętym liberalizmem stosunku do cudzych poglądów religijnych, z dość beztróskim traktowaniem norm obyczajowych, nie mówiąc już o przepisach prawa państwowego. Bohaterowie autora *Kaskady Franchimont* należą w pewnym sensie do „Kościoła wątpiających”, ale wątpiających nie tyle w Boga, ile w uprawnienia i racje teologów. Wątpią w nie jednak nie na ten sposób, co Luter, Kalwin, Pascal – ich patronem jest raczej Montaigne.

Nazwisko Montaigne’a nie pada na kartach tych książek ani razu, ale jego pogodnie sceptyczna mądrość przenika je na wskroś. Idąc śladami francuskiego myśliciela, Zambrzycki kształtuje pozytywny ideał-wzorzec aktywnej postawy humanistycznej. Nad jego założeniami filozoficznymi można dyskutować, pewnie, ale nie trzeba zapominać, że w sztuce najważniejsze są nie tyle same, *in abstracto* brane założenia myślowe artysty, ile raczej ich praktyczne rozwinięcie i zastosowania, ile sposób, w jaki zostają one wyrażone w dziele.

Aktywizm humanistyczny u Zambrzyckiego polega na zgodności działania ze scharakteryzowaną wyżej filozofią jego bohaterów, na umiejętności jej praktykowania. Kto działa kierowany impulsami radości i sympatii, działa z punktu widzenia ludzkości, pojętej jako społeczność wolnych i samoistnych osób, zasadniczo trafnie i słusznie, choćby nawet przy tej okazji wszedł w kolizję czy to z kodeksem cywilnym, czy też z powszechnie przyjętymi regułami moralności, czy z przepisami swojej gminy wyznaniowej. Ze wszystkich zaś dóbr, o których zachowanie powinniśmy nieustępliwie walczyć, najważniejsze są: poczucie wewnętrznej swobody człowieka, poczucie sensu i głębokiej

⁴ *Nasza Pani Radosna*, Warszawa 1957, s. 239–292.

wartości każdego indywidualnego istnienia, poczucie trwałej i pewnej więzi spajającej nas nierozdzielnie z radosną w swej najgłębszej treści istotą bytu, wreszcie poczucie obiektywnego waloru wypracowanych wielowiekowym wysiłkiem kulturotwórczym wartości humanistycznych.

Ożywiony impulsami humanistycznej energii twórczej duch ludzki zdolny jest przeciwstawić się zwyczajnie nastrojom ostatecznej, jakby się zdawać mogło, deprawacji i zagłady człowieczeństwa (*Kwaterna bożych pomyleńców*), może prostego wagabundę przeobrazić w reprezentanta geniuszu ludowej mądrości, w Sokratesa warszawskich rynków i traktierni (*Pamiętnik Filipka*), może zwyczajnie mierzyć się nawet z Kronosem „wszystkopożerającym” (*Nasza Pani Radosna*).

W dobie powszechnego sposepnienia, kiedy nad umysłowością współczesnych dyktatorską zgoła władzę zagarnął melancholijnie pesymistyczny, śledzienniczo zgryźliwy, ponuro zgorzkniały „duch ciężkości”, jakże bardzo potrzebne jest słowo, które przywracałoby nam wiarę w siebie i nasze człowieczeństwo. Zambrzycki znał tajemnicę takich słów i umiał je nam przekazywać niby to bawiąc się nimi, niby to igrając piórem – *pour passer le temps*. Pisarz bez rewerencji traktujący godność pisarza, filozof wywracający na nice dostojność filozofa. Widać, że nie tylko u Montaigne’a uczył się mądrości, ale również i u Diogenesa – mędrca nad mędrce.

Kaskada Franchimont ukazała się na parę zaledwie tygodni przed jego śmiercią. Była, choć sam może o tym nie wiedział, jego pożegnaniem z nami, jego testamentem. I jako taki heretycki testament na wesoło, testament w stylu mistrza Villona, powinniśmy czytać tę książkę, podczas gdy on, który wyruszył już w Wielką Wędrówkę gwiazdnymi gościńcami, będzie się od nas coraz bardziej oddalał. Oddalał – czy przybliżał? Bo jak oznaczyć kierunek w nieskończoności?

Glosy

Trzeba rozprzestrzeniać radość...
Montaigne

I

Literatura nasza żyje nastrojami katastrofy, końca świata, sądu ostatecznego. Jest dostojnie tragiczna i wzniosłe pesymistyczna. Gdyby którykolwiek z jej nazbyt utrudzonych męką istnienia przedstawicieli zarzucił pisanie, mógłby z pewnością liczyć na poważne stanowisko w zacnym i ze wszech miar czcigodnym cechu karawaniarzy.

Dlatego też dla wszystkich, którym już kością w gardle staje ta jeremiaszowo-karawaniarska maniera, wielką uciechą i przyjemnością jest fakt uczczenia nagrodą literacką Warszawy⁵ pisarza, którego muza, pogodna i zdrowa, w najmniejszym nawet stopniu nie uległa zaczadzeniu kawiarniano-knajpianymi wyziewami „polskiego egzystencjalizmu”. Nie znaczy to bynajmniej, aby Władysław Zambrzycki miał się zaliczać do owych, jak ich nazywa stary Zabłocki, „odwiecznych Sarmatów”, do tych najrdzeniejszych, najserdeczniejszych Lechitów, których – zdaniem Słowackiego – łatwo poznać po tym, że im

⁵ Nagrodę tę (za powieść *Pamiętnik Filipka*) otrzymał Zambrzycki w 1957 roku.

... z OCZU

*Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów...*

Owszem, jest w prozie autora *Naszej Pani Radosnej* skłonność do potoczystego, rubasznego czasem gawędziarstwa, do trefnej anegdoty. Ale ta staropolska zawieszistość stylu, jak również staropolskie upodobanie do koloryzowania idą w parze z subtelnością dowcipu i pełnym wdzięku, wolnym od pedanterii intelektualizmem wywodzącym się z tradycji owego najwspanialszego okresu dziejów literatury francuskiej, okresu, który otwierają Rabelais i Montaigne, a zamyka Chamfort swymi nieśmiertelnymi *Charakterami i anegdotami*.

Galickość intelektu i poczucie humoru strzegą Zambrzyckiego zarówno przed sentymentalizmem i ponuractwem, jak i przed zagubieniem się w farsowo-felietonowych dowcipkach. „Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie” są u niego dawkowane w sposób zapewniający ich wzajemną równowagę. Jego zaś filozofia, pogodna i wyrozumiała, godzi uśmiechnięty sceptycyzm z serdeczną życzliwością dla ludzi i zaufaniem do świata. I jeszcze jedno: pisarz ten zna dobrze granice swoich możliwości. W jego książkach nie znać wysiłku, trudu, pocenia się i sadzenia na przerastające siły autora genialności. Przeciwnie, utwory Zambrzyckiego robią wrażenie, jakby pisane były półżartem, od niechcienia, dla własnej satysfakcji i rozrywki. Przy ich lekturze odnosimy wrażenie, że autora byłoby stać na daleko więcej, ale że jemu wcale na owym „daleko więcej” nie zależy.

Wznowiony świeżo i uczczony nagrodą Warszawy *Pamiętnik Filipka* jest arcydziełem literackiej mistyfikacji. Ma to być rzekomo odnaleziony, opracowany i ogłoszony drukiem przez autora pamiętnik z lat 1804–1806, przedstawiający w kreślonych z rozmachem i humorem drobnych obrazkach życie codzienne ówczesnej Warszawy. Spotykamy na kartach tej książki i księcia Józefa Poniatowskiego, i Cypriana Godebskiego, i księdza Onufrego Kopczyńskiego, i Wojciecha Bogusławskiego, i liczną podówczas w Warszawie kolonię francuskich emigrantów z niekoronowanym Ludwikiem XVIII, hrabią de Lille, na czele, i reprezentantów pruskich władz okupacyjnych, a wśród nich genialnego fantastę E.T.A. Hoffmanna, przede wszystkim zaś niesłychanie bogatą galerię przedstawicieli warszawskiego ludu: rzemieślników, kupców, przekupki, drobnych oficjalistów, służbę, niebieskich ptaków. Zambrzycki operuje tą oszałamiającą mnogością figur, motywów i wątków ze zdumiewającą zręcznością. Pisana pozornie bez żadnego planu i żadnej określonej koncepcji, książka ta jest w gruncie rzeczy świetnie skomponowaną całością, znakomitą i całkowicie udaną próbą napisania powieści o mieście, utrzymanej w stylu głószonego niegdyś przez Duhamela i Romaina unanimitizmu.

Bohaterem książki nie jest bowiem ów tytułowy Filipek, młody, inteligentny, ciekawy i rzutki chłopak, dziecko warszawskiej ulicy. Jest on tylko kronikarzem dziejów swego miasta. Kronikarzem zresztą znakomitym, wyposażonym przez autora bogato w dar bystrej obserwacji, celnego dowcipu i doskonałe poczucie stylu. Ta książka nie opowiada o Warszawie sprzed stu pięćdziesięciu lat – ona ją stawia nam przed oczy.

Dawno już nie czytaliśmy tak pięknej książki o Warszawie. Nic też dziwnego, że przypadła jej literacka nagroda stolicy. Nie tylko jednak ze względu na zawarty w nim obraz naszego miasta zasłużył *Pamiętnik Filipka* na to zaszczytne wyróżnienie. Z naj-

głębszą racją można odnieść do niego słowa, które wypowiedział niegdyś Walter Scott o *Przypadkach Idziego Blasa Lesage'a*: „Dzieło to pozostawia czytelnika zadowolonym z siebie samego i rodzaju ludzkiego”, co jest niepoślednią zgoła zasługą, gdyż tego rodzaju zadowolenie czyni człowieka pogodnym, ufnym i spokojnym, a jak naucza znakomity mistrz Zambrzyckiego, Montaigne: „Trzeba rozprzestrzeniać radość, ale ścieśniać, o ile można, smutek”.

II

Nasza Pani Radosna to pamiętnik narratora, który wespół z trzema przyjaciółmi odbył zuchwałą podróż w czasie i zawędrował do starożytnej Pompei u schyłku panowania Wespazjana. Przybysze z dwudziestego wieku doskonale aklimatyzują się w greckorzymskim środowisku pompejańskim, gdzie, założywszy wytwórną pędzonej z winogron wódki, robią świetne interesy i bawią aż do chwili zagłady miasta przez potężny wybuch Wezuwiusza, uważanego podówczas za wulkan od dawna wygasły.

Po tej katastrofie bohaterowie powieści wracają znowu w wiek dwudziesty. Jeden z nich wszakże, Jeff Van Campen, trener piłkarski i zdobywca wieńca laurowego na Olimpiadzie, uzyskanego zresztą w sposób niezupełnie legalny, bo za przetłumaczone z nowogreckiego przekładu wiersze sportowe Wierzyńskiego, żeni się z pompejanką, fryzjerką Ireną i rezygnuje z powrotu. Przenosi się natomiast w nasze stulecie z pozostałymi wędrowcami w czasie kapłan Junony Seutes, razem z posągiem swojej bogini, oraz zabytkowy (z pierwszego wieku naszej ery!), przyhołubiony przez narratora, pompejański kundel Pompek.

Ów Seutes zostanie później katolickim księdzem i proboszczem w belgijskiej parafii Franchimont, rodzinnym miasteczku pułkownika Bodineau, duchowego wodza całej gromadki przyjaciół i organizatora owej podróży w czasie, który uzupełnia przedmowę i komentarzem zapiski narratora. Nie tylko jednak (dzięki talentowi pułkownika Bodineau w sporządzaniu odpowiednich dokumentów) rzymski kapłan przeobraża się najpierw w duchownego prawosławnego, a później – uzupełniwszy (już o własnych siłach) wykształcenie w seminarium diecezjalnym – staje się katolickim księdzem. Również zawrotną karierę robi w Belgii posąg jego dawnej bogini. Umieszczony w ogrodzie otaczającym willę pułkownika, staje się przedmiotem majowej adoracji nabożnych kobiet z Franchimont jako posąg Najświętszej Marii Panny. Tak rzymska Junona przekształca się w katolicką Naszą Panią Radosną (*Notre Dame de Liesse*), a przemianę tę akceptują również najwyższe w tej mierze zaświatowe Instancje, gdyż przed posągiem pompejańskiej Madonny zostaje cudownie uzdrowiony inwalida wojenny, Andrzej Piedboeuf.

W tej historii o wędrujących w odległą epokę przyjaciółach, którzy stale miewają jakieś nieporozumienia z policją, urzędnikami celnymi, prokuraturą i konsulatami, a przecież jednocześnie zyskują w pełni naszą życzliwość i sympatię, żart miesza się z lirycznym sentymentem, fantazja z realizmem, zręczna mistyfikacja literacka z dowcipnie i zgrabnie podanym wywodem filozoficznym. Nie filozofią jednak podbija Zambrzycki czytelnika, lecz przede wszystkim swoją znakomitą, pełną swady i humoru narracją oraz plastyką wyobraźni, wyczarowującej wizję starożytnego rzymskiego miasta, wizję, w której znakomita erudycja historyczna spleta się nierozdzielnie z fantazją, tworząc w sumie obraz rzymskiej przeszłości na pewno niewiele mający wspólnego z rzeczywistością, ale po sienkiewiczowsku wręcz barwny i dający iluzję „podkolorowanego” najwyżej cokolwiek realizmu.

Co do filozofii Zambrzyckiego, to trzeba wyodrębnić dwie jej różne warstwy. Pierwszą z nich stanowią tezy zaczerpnięte w znacznej mierze z interesującej, choć mocno w swych wywodach ryzykownej książki Tadeusza Zielińskiego – *Hellenizm a judaizm*. Teza, że chrześcijaństwo bliższe jest w gruncie rzeczy religijnym pojęciom Greków niż dawnych Żydów i że nie ma istotnych treściowych powiązań między Starym a Nowym Testamentem, jest bardzo efektowna, ale trudna do obronienia. Przytoczony w powieści apokryficzny list apostołski Łukasza Ewangelisty jest mistyfikacją typu utopijnego: przedstawia koncepcję pierwotnego chrześcijaństwa nazbyt sielankowo, jakby natchnioną *Kwiatkami św. Franciszka z Asyżu*, a nie historyczną wiedzą o najwcześniejszym okresie dziejów Kościoła⁶.

Te helleńsko-katolickie pomysły są zresztą do powieści dość luźno przyczepione. W gruncie rzeczy religia interesuje Zambrzyckiego przede wszystkim jako fenomen kulturalny, społeczny, psychologiczny, a wobec jej metafizyczno-mistycznych założeń i konsekwencji zachowuje on stanowisko życzliwej neutralności, skłaniającej się nawet do pełnej akceptacji – ale z powodów głównie natury estetycznej. Jest on tak zakochany w urodzie doczesnego świata, że pragnąłby przedłużyć jej trwanie poza granicę grobu i że swoją tęsknotę za kontynuacją ziemskiego bytowania w pośmiertnej przyszłości wyraża metaforyczną legendą o Junonie-Madonnie, Wielkiej Macierzy, opiekuńczym bóstwie wszystkiego, co istnieje.

I to jest najistotniejszy filozoficzny zrab książki Zambrzyckiego: afirmacja życia we wszelkich jego przejawach i głęboka wiara w zasadniczą dobroć i prawość natury ludzkiej. Autor *Naszej Pani Radosnej* jest zdeklarowanym optymistą, choć „optymistą krytycznym”, optymistą-sceptykiem ze szkoły Montaigne’a, umiejącym nie prześlepiac i nie rozgrzeszac zbyt łatwo głupoty, złośliwości, obłudy. I to właśnie czyni jego „optymizm krytyczny” na wskroś realistycznym i trzeźwym, nie wyspekulowaną, abstrakcyjną tezą, lecz kwintesencją rzetelnej, z konkretnego doświadczenia czerpanej wiedzy o świecie i człowieku, propozycją światopoglądową postawioną epoce chorej na czarnowidzwo i trapięcej złowieszczymi apokalipsami nieuleczalnych wątrobiarzy.

⁶ Sprawę rzekomego pisma św. Łukasza wyjaśnia sam autor w liście do mnie, napisanym po przeczytaniu mojej recenzji z *Naszej Pani Radosnej*). Ponieważ list ten nie jest bez znaczenia również dla genezy powieści, przytaczam go w całości:

Saska Kępa, 12 marca 1958 r.

Wielce Szanowny Panie!

Śpieszę podziękować za nadzwyczajnie pochlebną dla mnie ocenę *Naszej Pani Radosnej*. Przyznam się, że do napisania tej książki nie popchnęły mnie studia antyku, bo ich nie miałem. Przypadkowym bodźcem stało się porównanie głośnej przed laty powieści pompejańskiej Bulwera Lyttona z odkryciami w zasypanym mieście. Spędzając urlop w pobliżu wykopalisk (w Stabii) porobiłem notatki do nowej wersji *Ostatnich dni Pompei*, ale na wspan, pod włos, i stąd się wzięła *Nasza Pani Radosna*.

Co do hellenizującego chrześcijaństwa, to w tym właśnie czasie czytałem Zielińskiego i nie mogłem się ustrzec od eskamotażu jego malowniczych tez (o czym pułkownik Bodineau zawiadamia czytelników w uwadze – str. 114). Rzekomy list św. Łukasza jest kompilacją, składa się przeważnie ze zdań powymowanych z listów św. Pawła.

Serdecznie dziękuję Szanownemu Panu za recenzję i za uwagi, których trafność mnie zaskoczyła; długo nad nimi rozmyślałem. Dziękuję i łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Wł. Zambrzycki

III

Kwaterna bożych pomyleńców osnuta została na tle powstania warszawskiego, ale nie jest książką o powstaniu, jak na przykład *Kolumbowie. Rocznik 20* Bratnego. Nie jest powieścią historyczną, polityczną, społeczną, nie jest eposem narodowym ani spowiedzią czy manifestem tego lub owego pokolenia. Jest opowieścią o czterech przyjaciółach, ludziach już raczej starszych (najmłodszy z nich liczy sobie bądź co bądź pięćdziesiąt trzy lata), którzy okres powstania spędzają wspólnie w mieszkaniu na Żurawiej. Z wyjątkiem najstarszego z nich, pana Wincentego, wszyscy biorą w miarę swych sił udział w walce z Niemcami, wieczorem zaś zbierają się, aby toczyć długie rozmowy i dyskusje, opowiadać swoje najbardziej dziwne i niezwykłe przygody.

Celem Zambrzyckiego nie jest jednak przedstawienie powstania od strony zaskoczonych nim cywilów, nie jest malowanie obrazu pozafrontowego życia nękanej nalotami, bombardowanej i palonej Warszawy. Pisze on właśnie o swoich czterech, znanych nam pod żartobliwymi przezwiskami, bohaterach, którymi są: Afrykander (kilka lat spędził w Afryce); Quadratus (zbierał prace matematyczne pisane przez maniaków, dotyczące zwłaszcza kwadratury koła); Tatar (pochodzący z osiadłej na Podlasiu rodziny polskich Tatarów) oraz wspomniany już wyżej pan Wincenty (właściwie Feliks Vincenti, potomek protestantów szwajcarskich). I pisze w ten sposób, że mimo wszystkich nieszczyść i przykrości, jakie spadają na jego bohaterów, mimo śmierci jednego z nich (Afrykandera), ogólny nastrój książki jest raczej pogodny, a humor góruje w niej nad tragizmem.

Dzieje się to w znacznym stopniu dlatego, że w opowieść o losach owej czwórki uroczych dziwaków wplótł Zambrzycki całą antologię gawęd, opowiastek i anegdot, dobieranych z punktu widzenia troski o „higienę psychiczną”, którą propaguje Afrykander, ogłaszając „zakaz poruszania tematów przygnębiających”.

Anegdoty zaś, zwłaszcza te, które opowiada Quadratus, jak na przykład historia nieszczyść jego belgijskiej ukochanej, Laury, czy dzieje ukonstytuowania się suwerennego rządu w liczącej 55 hektarów powierzchni republice Moresnet⁷ lub opowieść o ułanie-spiirytyście Jureczku, usiłującym przy pomocy swego medium ograbić kasyno gry w Sopocie, są wręcz kapitalne. Niemniej ta warstwa anegdotyczna nie jest najgłębszą i ostateczną warstwą treściową *Kwaterny bożych pomyleńców*, a powstanie warszawskie nie stanowi w tej książce tylko i wyłącznie pretekstu dla zgromadzenia w pewnym miejscu pewnej grupy ludzi. Pod warstwą anegdotyczno-humorystyczną książki Zambrzyckiego kryje się znaczenie głębsze, kryje się swoista filozofia autora.

Nie należy wszakże poglądów, które wygłaszają bohaterowie książki, identyfikować z poglądami autora. Na pewno kwestie dyskutowane w *Kwaterze bożych pomyleńców* nie są Zambrzyckiemu obojętne, ale mówiąc o filozoficznej wymowie jego utworu nie

⁷ Republika Moresnet nie jest bynajmniej tworem fantazji autora. Miniaturowy ten kraik powołał do życia... błąd kartografów opracowujących mapy ówczesnego (po Kongresie Wiedeńskim) pogranicza Niderlandów i Niemiec. Nieobjęty tymi mapami obszar uznano w 1816 r. za samoistne państewko, zostające pod wspólnym protektoratem swych potężniejszych sąsiadów. Podczas najazdu na Belgię w 1914 r. Niemcy zagarnęli również Moresnet. W roku 1919 terytorium to zostało na podstawie traktatu wersalskiego wcielone do Belgii. Wielka to dla nas szkoda, gdyż w rezultacie tego zaboru nigdy już zapewne nie pojawi się moresnecki dziejopis, który w opisie chwalebnej przeszłości swojej ojczyzny nie pominąłby chyba jej „mocarstwowych” poczynań, w których nasz rodak Quadratus *magna pars fuit*.

te właśnie spory i rozważania czwórki przyjaciół z Żurawiej miałem na myśli. Nowa powieść autora *Naszej Pani Radosnej* wskrzesza w sposób żartobliwy, felietonowy niemal, stare, szacowne tradycje antycznego „pocieszenia” (*consolatio*). Zambrzycki przemawia tym razem jako nowoczesny kontynuator Boecjusza, usiłujący krzepić na duchu zagrożoną monstrualnymi wizjami technokratycznego jutra inteligencję humanistyczną.

Stosunkowo realistyczny i bogaty w szczegóły obraz życia Warszawy z dni powstania nie stanowi bynajmniej obojętnego tła dla przeżyć bohaterów powieści. Autor umieszcza ich w sytuacji jak najbardziej trudnej, aby tym jaśniejsze się stało, że w najgorszych nawet warunkach żywe, bezustanne kultywowanie wartości humanistycznych stanowi cenny, niezastąpiony wręcz oręż w walce z nastrojami katastrofy, paniki, rozpacz, beznadziejności. Bohaterowie Zambrzyckiego, współuczestnicząc w miarę swych sił i możliwości w obronie Warszawy, tworzą jednocześnie w pokoju na Żurawiej azyl, w którym chronią od zniszczenia świat swoich myśli i uczuć, dziedzictwo zagrożonych unicestwieniem wartości humanistycznych.

A nie są to bynajmniej ludzie niezwyklej miary. Zambrzycki nie chce być Boecjuszem dla filozofów. Jego „pocieszenie” adresowane jest do tych wszystkich, którym drogie są tradycje kultury humanistycznej i którzy boleśnie odczuwają ich zagrożenie przez trwający jeszcze stale napór tendencji antyhumanistycznych, jak niewygasłe dotąd dziedzictwo faszyzmu w polityce czy coraz bardziej rosnące apetyty zwolenników technokracji i skrajnego scjentyistycznego intelektualizmu w dziedzinie nauki i kultury.

Filozofia Zambrzyckiego stanowi swoistą odmianę pragmatyzmu. Punktem wyjścia jest bowiem dla niej przeświadczenie, że potrzeby serca ludzkiego są nieomyślne i że powinny być zaspokojone, a wszystko, co zaspokojenie ich uniemożliwia, traktować należy jako błąd i jako zboczenie z drogi, którą trafnie wskazuje nasz instynkt moralny. Dlatego też Zambrzycki ze sporą dozą nieufności odnosi się do myślenia spekulatywnego, do działań intelektu niezwiązanych bezpośrednio ze sferą praktyki życiowej. Jego myślenie jest całkowicie antropocentryczne i dlatego jego sceptycyzm zachowuje nieufność również wobec wszelkich skodyfikowanych systematów etycznych czy wyznań religijnych.

Filozofia ta mogłaby być atakowana z różnych stanowisk. My jednak nie będziemy się wdawali tym razem w żadne „zasadnicze” polemiki. Ograniczymy się po prostu do stwierdzenia istniejącego stanu rzeczy i do zasygnalizowania faktu, że w ramach swoich założeń myślowych i artystycznych Zambrzycki odniósł pełny sukces. Dał książkę żywą, błyskotliwą, emocjonującą, świetną powieść „do czytania”, nie pozbawioną przy tym głębszych znaczeń, podanych w formie lekkiej i wdzięcznej. Książka to tym cenniejsza, że ukazująca się w momencie gdy w humanistycznej Grenadzie poczyna się szerzyć zaraza i kapitulancтво, gdy nawet literaci zaczynają mówić i pisać o „zmierzchu humanistyki”. Na przekór tym kasandrycznym prorocत्वom demonstruje nam Zambrzycki na przykładzie mieszkańców pokoju na Żurawiej praktyczną, życiową ważność ukształtowanej przez *humaniora* postawy swoich bohaterów.

(1957–1962)